



JOHN JAKES

PIEKŁO I NIEBO

FINAŁ SAGI
„PÓŁNOC I POŁUDNIE”



ALBATROS

Tytuł oryginału:
HEAVEN AND HELL

Copyright © 1987 by John Jakes
All rights reserved
Published by arrangement with the author, clo REMCUR, LLC, P.O. Box 908,
Croton Falls, New York 10519, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Zbigniew Białas

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: Frame Art/Shutterstock (*ornamenty*);
IrinaKorsakova/Shutterstock (*postać kobiety*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Tej nocy w Waszyngtonie padał deszcz. We wtorek dwudziestego trzeciego maja George Hazard obudził się tuż przed świtem w apartamencie w hotelu Willard. Oparł rękę na ciepłym ramieniu żony, Constance, i zaczął nasłuchiwać.

Przestało padać.

Cisza była dobrym znakiem przed zbliżającym się uroczystym dniem. Tego ranka miała się rozpocząć nowa epoka – epoka pokoju w ocalonej Unii.

Skąd więc przeczucia, że nadchodzą nieszczęścia?

George cicho wstał z łóżka. Flanelowa koszula nocna plątała się między jego owłosionymi łydkami, kiedy wymykał się z pokoju. Miał czterdzieści jeden lat. Był krępy mężczyzną o silnych ramionach. Koledzy z West Point nadali mu przydomek Pniak, ze względu na atletyczną budowę i niewielki wzrost. Włosy i starannie utrzymywaną żołnierską bródkę przyprószyła mu siwizna.

Przeszedł do salonu i zobaczył porozrzucane gazety i czasopisma. Nie poskładał ich wieczorem, ponieważ był zbyt zmęczony. Zaczął je porządkować. Starał się to robić możliwie jak najciszej, bo w drugiej i trzeciej sypialni spały jego dzieci. Syn, William Hazard III, skończył w styczniu szesnaście lat. Patricia będzie miała szesnaste urodziny pod koniec roku. Młodszy brat George'a, Billy, zajmował z żoną, Brett, czwartą sypialnię. Choć Billy miał brać udział w dzisiejszej paradzie, otrzymał zezwolenie na spędzenie nocy poza obozem saperów w Forcie Berry.

Sądząc z tonu prasy, złe przeczucia George'a były bezpodstawne. „New York Times”, „Tribune”, „Washington Star” oraz najświeższy numer „Army and Navy Journal” uderzały w tę samą triumfalną nutę. George ułożył gazety na stoliku w przyzwoitym stos. Pierwsze strony wykrzykiwały:

Mimo że wojna zakończyła się zaledwie przed paroma dniami, już teraz rozpoczęliśmy zwalnianie ludzi z wielkiej Armii Unii.

To oni zdławiли rebelię, to oni ocalili Unię i zdobyli kraj dla siebie i dla nas.

Departament Wojny wydał rozkaz wydrukowania na papierze pergaminowym sześciu tysięcy formularzy zwolnień z wojska.

Nasza niezależna republika rozwiązuje armie, wysyła do domu wiernych żołnierzy, zamyka punkty rekrutacyjne, wstrzymuje kontrakty na wszelkie dostawy i zamierza porzucić ponurą ścieżkę wojny na rzecz szerokiej i świetlistej drogi pokoju.

Tego dnia i następnego miało się odbyć kilka uroczystości: wielka parada Armii Potomacu Granta i Armii Zachodniej Wuja Billy'ego Shermana. Ludzie Granta pomaszerują dzisiaj; nieustępliwe i nieokrzeseane oddziały Shermana jutro. Ci drudzy, z Zachodu, drwili sobie z tych ze Wschodu, nazywając ich „papierowymi żołnierzami”. Być może ludzie Shermana przedefilują z krowami, kozami, mułami i walczącymi kogutami, które przywieźli do obozów rozlokowanych wzdłuż rzeki Potomac.

Nie wszyscy mężczyźni, którzy poszli na wojnę, wezmą udział w defiladzie. Niektórzy już nigdy nie spotkają najbliższych; na przykład najlepszy przyjaciel George'a, Orry. Poznali się jako kadeci w West Point w 1842 roku. Służyli razem w Meksyku. Ich przyjaźń przetrwała nawet kapitulację Fortu Sumter, kiedy to niezależnie od ich woli znaleźli się po dwóch stronach konfliktu. Śmierć osiągnęła Orry'ego w ostatnich dniach wojny w pobliżu Petersburga. Nie zginął w walce. Stał się ofiarą głupiej, niepotrzebnej, mściwej kuli rannego żołnierza Unii, któremu usiłował pomóc.

Z wielu młodych ludzi wojna zrobiła starców. Nadal włóczyli się po drogach Południa, wracając do domu, do nędzy, ziemi spustoszonej i spalonej przez walczące armie. Inni podróżowali pociągami na Południe, okaleczeni na ciele i duchu po pobycie w kloakach, które nazywano więzieniami dla rebeliantów. Jeszcze inni konfederaci uciekali do Meksyku, zaciągali się do armii kedywa Egiptu albo znikali gdzieś na Zachodzie i próbowali zapomnieć o ranach zadanych nie tylko ciałom. Młodszy kuzyn Orry'ego, Charles, wybrał tę ostatnią drogę.

Byli też tacy, dla których wojna zakończyła się hańbą – na czele z Jeffem Davisem, prezydentem Konfederacji, schwytanym w pobliżu Irwinville w stanie

Georgia. Gazety na Północy donosiły, że próbował uniknąć aresztowania, uciekając w kobiecym przebraniu. Nie wiadomo, czy była to prawda, ale niektórym Jankesom więzienie nie wydawało się dostateczną karą dla Davisa. Domagano się szubienicy.

George zapalił drogie kubańskie cygaro i podszedł do okna wychodzącego na Pennsylvania Avenue, z którego byłoby doskonale widać dzisiejszą defiladę. Otrzymał jednak specjalne bilety wstępu na trybunę ustawioną naprzeciw trybuny prezydenta. Ostrożnie otworzył okno.

Niebo było bezchmurne. Wychylił się tak, by wydmuchiwać dym z cygara na zewnątrz. Dostrzegł patriotyczne dekoracje na trzy- i czteropiętrowych budynkach ciągnących się wzdłuż alei. Szarfy w radosnych barwach zastąpiły w końcu tę żalobną krepę, która wisiała wszędzie po zamachu na Lincolna. Jasnoczerwona wstęga światła nad Potomakiem wyznaczała horyzont.

Na zabłoconych ulicach pojawiły się pierwsze powozy, kawalerzyści na koniach i przechodnie. George obserwował czarną rodzinę – ojca, matkę i pięcioro dzieci – podążającą w kierunku Parku Prezydenckiego. Dla nich zakończenie wojny nie było jedynym powodem do radości; dostali też trzynastą poprawkę do konstytucji, na zawsze znoszącą niewolnictwo. Poszczególne stany miały ją jeszcze ratyfikować i dopiero wtedy nabierze mocy prawnej.

Rozjaśniło się. Coraz wyraźniej rysowały się czerwień, biel i błękit. Koniec z deszczem. Dlaczego nękają mnie złe przeczucia, skoro wszystkie znaki są tak pomyślne? – zastanawiał się George.

To przez nasze rodziny, uznał w końcu. Mainów i Hazardów. Przeżyli wojnę, ale okaleczyła ich psychicznie. Siostra George'a, Virgilia, była stracona dla rodziny z powodu swojej radykalnej postawy. Smuciło go to tym bardziej, że teraz przebywała właśnie tutaj, w Waszyngtonie. Nie znał jednak jej adresu.

Był też Stanley, starszy brat, pozbawiony jakichkolwiek kompetencji człowiek, który na wojnie dorobił się wielkiego majątku. Mimo tego sukcesu – lub może z jego powodu – za dużo pił.

U Mainów sprawy nie toczyły się lepiej. Ashton, siostra Orry'ego, przepadła gdzieś na Zachodzie po tym, jak uwikłała się w nieudany spisek w celu obalenia rządu Davisa i zastąpienia go jeszcze bardziej ortodoksyjnym. Brat Orry'ego, Cooper, który pracował w Liverpoolu dla Departamentu Marynarki Wojennej Konfederacji, stracił jedyne syna, Judaha, gdy statek przemysłowy, którym płynęli do Karoliny Północnej, został zatopiony przez eskadrę Unii w pobliżu Fortu Fisher.

Była wreszcie wdowa po najlepszym przyjacielu George'a, Madeline. Czekala ją walka o odbudowanie swojego życia i spalonej plantacji nad rzeką Ashley w pobliżu Charlestonu. George wręczył jej list kredytowy na czterdzieści tysięcy dolarów

wystawiony przez bank, w którym posiadał większość udziałów. Miał nadzieję, że Madeline poprosi go jeszcze o pomoc finansową, bo większość pieniędzy, które od niego dostała, musiała przeznaczyć na spłacenie dwóch hipotek i uregulowanie podatków federalnych, by uniknąć konfiskaty majątku przez agentów skarbowych szalejących już na Południu. Madeline na razie nie poprosiła jednak o więcej i to go niepokoiło.

Nawet o tak wczesnej porze ruch konny na ulicach był duży. Gdyby zaufać niebu i łagodnemu wietrzykowi, ten ważny dzień powinien być piękny. Czemu więc George, nawet gdy odegnał smutne wspomnienia, nie mógł oprzeć się uczuciu, że nadchodzą kłopoty?

* * *

Hazardowie szybko zjedli śniadanie. Brett robiła wrażenie szczególnie szczęśliwej i podekscytowanej, co napawało George'a pewną dozą zazdrości. Za parę tygodni Billy zamierzał zrezygnować ze służby w oddziałach inżynieryjnych i wsiąść z żoną na statek płynący do San Francisco. Ani on, ani Brett nigdy nie widzieli Kalifornii, ale pociągały ich opisy klimatu, krajobrazów i perspektyw tego regionu. Billy pragnął założyć własną firmę inżynieryjną. Podobnie jak jego przyjaciel, Charles Main, z którym studiował w West Point – gdzie znaleźli się, idąc za przykładem George'a i Orry'ego – chciał odjechać jak najdalej od świeżo zabliznionych pól, na których Amerykanin walczył z Amerykaninem.

Billy i jego żona powinni wypłynąć jak najszybciej, ponieważ Brett spodziewała się pierwszego dziecka. Billy wyznał to George'owi w sekrecie, bo zgodnie z konwenansami o ciąży nie powinno się w ogóle wspominać, nawet w gronie rodzinnym. Gdy zbliżał się termin rozwiązania i brzuch kobiety wydymał się, ludzie udawali, że niczego nie dostrzegają. Kiedy przychodziło na świat drugie dziecko, rodzice często tłumaczyli pierworodnemu, że lekarz przyniósł niemowlę w butelce. George i Constance dostosowywali się do większości tych głupich zasad, ale nigdy nie posunęli się do opowiadania swoim dzieciom historyjki z butelką.

George wraz z rodziną dotarł do sektora specjalnego o ósmej piętnaście. Zajęli miejsca wśród reporterów, kongresmenów, sędziów Sądu Najwyższego, oficerów armii i marynarki wojennej. Na lewo od nich Pennsylvania Avenue biegła wokół gmachu Departamentu Skarbu stojącego przy Piętnastej Ulicy, dlatego też duża jej część, aż do Kapitolu, była niewidoczna.

Po prawej, w odległości czterech przecznic, ludzie tłoczyli się za ustawionymi wcześniej zaporami, stali w oknach, siedzieli na dachach, a nawet wspinali się na wyginające się pod ich ciężarem gałęzie drzew. Po przeciwnej stronie stała zadaszona

trybuna dla prezydenta Johnsona i honorowych gości. Zasiedli na niej generałowie Grant i Sheridan oraz szef Stanleja Hazarda, sekretarz wojny Stanton. Wzdłuż dachu trybuny wisiały transparenty z wypisanymi nazwami miejsc zwycięstw Unii – ATLANTA, ANTIETAM, GETTYSBURG, SPOTSYLVANIA – ozdobione małymi chorągiewkami i zielonymi gałązkami.

Za kwadrans dziewiąta wciąż nie było prezydenta. Ten toporny człowiek stał się ostatnio ofiarą wielu plotek. Ludzie twierdzili, że brakuje mu taktu, pije nałogowo i jest pospolicity. To ostatnie przynajmniej było prawdą. Johnson, krawiec, a później senator, syn tragarza, stałego bywalca tawern Tennessee, samouk, nie miał talentu Lincolna: nie potrafił obrócić na swoją korzyść niskiego pochodzenia. George spotkał kiedyś Johnsona. Uznał go za obcesowego, pełnego uprzedzeń człowieka, który przejawiał niemal religijny szacunek dla konstytucji. Już samo to wystarczało, by kłócił się z radykalnymi republikanami, którzy chcieli tak rozszerzyć interpretację konstytucji, by odpowiadała ich wizji narodu.

George zgadzał się z wieloma punktami programu radykałów – na przykład w kwestii równych praw oraz prawa wyborczego dla mężczyzn obu ras – nie był jednak zachwycony ich motywami i metodami. Wielu z nich nie ukrywało nawet, że głosy czarnych wyborców są im potrzebne, by uzyskać większość mandatów parlamentarnych i zburzyć tradycyjną dominację demokratów w kraju. Radykałowie okazywali wrogość zarówno pokonanym przeciwnikom, jak i tym, których uważali za „ideologicznie skażonych”.

Między nimi a prezydentem Johnsonem rozgorzała walka o kontrolę nad sprawami odbudowy państwa. Nie był to konflikt nowy. Już w 1862 roku Lincoln zaproponował plan Louisiana, a później przerobił go tak, by każdy stan, który ogłosił secesję, mógł na powrót przystąpić do państwa, o ile „znaczący rdzeń” wyborców – wystarczało dziesięć procent obywateli z prawem wyborczym przysługującym im do 1860 roku – złożył przysięgę lojalności i zorganizował prounijny rząd.

W odpowiedzi na ten plan radykalni republikanie przedstawili w lipcu 1864 roku ustawę przygotowaną przez senatora Bena Wade’a z Ohio i członka Izby Reprezentantów, Henry’ego Davisa z Marylandu. Ustawa proponowała znacznie surowsze warunki powrotu do Unii. Znalazł się w niej zapis o rządach wojskowych nad pokonaną Konfederacją. Dawała Kongresowi kontrolę nad odbudową państwa. Na początku 1865 roku stan Tennessee utworzył rząd zgodnie z planem Louisiana. Na jego czele stanął wig i zwolennik Unii, niejaki Brownlow. Radykałowie w Kongresie odmówili jednak uznania tego rządu.

Prezydent Andrew Johnson wprawdzie oskarżył Jeffersona Davisa o „inspirowanie” i „poparcie” zamachu na Lincolna w Teatrze Forda i wygłosił

obowiązkowe oskarżenia pod adresem Południa, ale upierał się przy umiarkowanym planie Louisiana. Ostatnio George słyszał, że Johnson zamierza latem i jesienią odpowiednimi dekretami wprowadzić ten plan w życie. Kongres zawiesił obrady i miały zostać wznowione dopiero pod koniec roku, a że Johnson z całą pewnością nie zwoła sesji nadzwyczajnej, pokrzyżuje tym samym plany radykałów.

Plotki mówiły o przygotowywanych akcjach odwetowych republikanów. George zamierzał porozmawiać w Waszyngtonie z wpływowym politykiem z Pensylwanii i powiedzieć mu, co o tym wszystkim sądzi. Wystarczająco dużo łożył co roku na partię, by mieć do tego prawo. Może z takiej dyskusji wyniknie coś dobrego.

– Tato, tam jest ciocia Isabel – odezwała się z tyłu Patricia.

George dostrzegł żonę Stanleya, machającą z prezydenckiej trybuny. Skrzywił się, odwzajemniając pozdrowienie.

– Chce, żebyśmy koniecznie ją zobaczyli – powiedział.

Brett uśmiechnęła się. Constance poklepała męża po ręce.

– George, nie bądź złośliwy. Przecież nie zamieniłbyś się ze Stanleyem.

Wzruszył ramionami i dalej obserwował ludzi po swojej stronie ulicy. Chciał przycisnąć do muru kongresmena ze swojego stanu i szukał go w tłumie. W tym czasie Constance sięgnęła do torebki po landrynkę. Jej rude loki wysypywały się spod modnego słomkowego kapelusza. Wciąż mogła się szczycić białą irlandzką karnacją, mimo że od ślubu, pod koniec wojny meksykańskiej, przybyło jej piętnaście kilogramów. George twierdził, że mu to nie przeszkadza; uważał trochę więcej ciała za oznakę zadowolenia.

Punktualnie o dziewiątej gdzieś w okolicy Kapitolu huknęły armaty. Kilka minut później Hazardowie usłyszeli z daleka, że orkiestra zaintonowała *When Johnny Comes Marching Home*. Potem niewidoczne tłumy ludzi za zakrętem Pennsylvania Avenue zaczęły wiwatować na cześć defilujących jednostek. Wkrótce pierwsi żołnierze wyłonili się zza gmachu Departamentu Skarbu. Przywitały ich radosne okrzyki i burzliwe oklaski.

Defiladę prowadził generał erudyta George Meade; wśród owacji podjechał do prezydenckiej trybuny. Chłopcy, którzy zwisali z drzew, wychylali się i tak klaskali, że omal nie pospadali z gałęzi. Meade zasalutował szablą dygnitarzom – ani Grant, ani Johnson jeszcze się nie pojawili – po czym oddał konia kapralowi i usiadł wśród zebranych na trybunie.

Kobiety wiwatowały, mężczyźni płakali bez zażenowania, chór młodych uczennic śpiewał. Dziewczęta zasypywały ulicę bukietami kwiatów. Słońce odbijało się żywym ogniem w białej jak alabaster kopule Kapitolu, gdy w polu widzenia

ukazał się generał Wesley Merritt z Trzecią Dywizją. Jej dowódcę, Małego Phila Sheridana, już oddelegowano do nowych zadań nad Zatoką Meksykańską. Gdy maszerowała Trzecia Dywizja, nawet William, który przechodził właśnie młodzieńczy okres buntu przeciw całemu światu, zerwawszy się z miejsca, gwizdał i klaskał w dłonie.

Kawaleria Sheridana przejechała w kolumnach szwadronów, po szesnaście osób w szeregu. Szable lśniły w słońcu, żołnierze ewidentnie wyszli prosto od fryzjera i nie okazywali zbyt dużego zmęczenia wojaczką. Wielu z nich wetknęło w lufy karabinów bukiety stokrotek i fiołków.

Każdy szereg salutował szablami przed prezydentem, który wreszcie pokazał się na trybunie w towarzystwie generała Granta. Johnson miał niezbyt pewną minę. George usłyszał, jak jakaś kobieta z tyłu zastanawia się głośno, czy prezydent już jest pijany.

W powietrzu unosił się kurz. Odór końskich odchodów był coraz intensywniejszy. Z Piętnastej Ulicy dobiegły okrzyki:

– Custer! Custer! Custer!

I oto pojawił się na dumnie kroczącym pięknym gniadoszu, Don Juanie, Generał Chłopiec o bujnych pszenicznych włosach opadających na ramiona, z zarumienioną twarzą, czerwoną chustką na szyi, ze złotymi ostrogami i z kapeluszem o szerokim rondzie. Zdjął go, żeby podziękować tłumom za owacje. Niewielu oficerów Unii cieszyło się taką sympatią społeczeństwa i prasy. George Armstrong Custer włókł się w ogonie swojego rocznika w West Point, a jednak w wieku dwudziestu trzech lat został dowódcą brygady, a rok później generałem majorem. Padło pod nim dwanaście koni. Nieustraszony albo lekkomyślny, w zależności od punktu widzenia. Mówiło się, że pragnął zostać prezydentem po Ulyssesie Grancie. Jeśliby naprawdę tego chciał, to gdyby dopisało mu słynne „custerowskie szczęście”, a ludzie wciąż by o nim pamiętali, zapewne mógłby osiągnąć cel.

Młody generał przewodził oddziałowi kawalerzystów z czerwonymi chustkami na szyjach, a pułkowa orkiestra głośno grała *Garry'ego Owena*. W chórze uczennic nastąpiło poruszenie. Dziewczęta znów były gotowe do śpiewu. Rzuciły kwiaty. W pobliżu trybuny prezydenckiej Custer wyciągnął rękę, by chwycić bukiet...

Lecz nagły ruch spłoszył jego konia. Gniadosz rzucił się w kierunku Siedemnastej Ulicy i George ujrzał wściekłą twarz generała. Zanim Custer odzyskał panowanie nad Don Juanem, było za późno, by przedrzeć się pod prąd przez szereg ludzi i koni i oddać honory prezydentowi. Rozjuszony oficer pojechał więc dalej.

Tego dnia „custerowskie szczęście” nie zadziało, pomyślał George, zapalając cygaro. Droga do spełnienia ludzkich ambicji rzadko bywa prosta. Dzięki Bogu, on

nie miał apetytu na wysokie stanowisko.

Zgodnie z wydrukowanym programem pozostawało jeszcze trochę czasu do pojawienia się saperów. Przeprosił więc towarzystwo i rozpoczął raz jeszcze poszukiwanie polityka, którego miał nadzieję odnaleźć w tłumie.

* * *

Zobaczył go między drzewami za trybuną honorową, rozmawiającego z kimś. Kongresmen Thaddeus Stevens, republikanin z Lancaster i być może czołowy radykał, miał ponad siedemdziesiąt lat. Niezmiennie wytwarzał wokół siebie atmosferę niedostępności i siły. Ani jego szpotawa stopa, ani rzucająca się w oczy brzydka ciemnobrązowa peruka nie umniejszały jego potęgi. Nie nosił brody i wąsów, przez co jeszcze bardziej uwydatniały się ostre rysy.

Właśnie zakończył rozmowę. Dwaj jego wielbiciele ukłonili się i odeszli. George wyciągnął rękę na powitanie.

– Witaj, Thad.

– George. Miło cię widzieć. Słyszałem, że zrzuciłeś mundur.

– Tak. I wracam do Lehigh Station, by pokierować rodzinnymi interesami. Masz chwilkę? Chciałbym z tobą porozmawiać jak republikanin z republikaninem.

– Oczywiście – odparł Stevens. W tym momencie jego oczy straciły blask. George wiedział, że jest to znamienne dla polityków, którzy usiłują ukryć swoje prawdziwe uczucia.

– Chcę tylko powiedzieć, że według mnie powinno się dać szansę programowi pana Johnsona.

Stevens zacisnął usta.

– Rozumiem powód twojego zaniepokojenia. Wiem, że masz przyjaciół w Karolinie Południowej.

Boże, jak ten człowiek potrafił prowokować szczerością! George żałował, że nie jest kilkanaście centymetrów wyższy, bo nie musiałby wtedy podnosić wzroku.

– Tak, to prawda, chodzi o rodzinę mojego najlepszego przyjaciela, który nie przeżył wojny. W obronie tej rodziny muszę powiedzieć, że nie uważam ich ani za arystokratów, ani za przestępców.

– Są nimi, jeśli trzymali czarnych w niewoli.

– Thad, proszę, pozwól mi skończyć.

– Tak, oczywiście. – Stevens odrzucił już pozory życzliwości.

– Parę lat temu uważałem, że nadgorliwi politycy po obu stronach niepotrzebnie podzegli do wojny. Przemyślałem tę sprawę i doszedłem do wniosku, że nie miałem racji. Mimo całej potworności ta wojna była nie do uniknięcia.

Stopniowa i pokojowa emancypacja czarnych nigdy by się nie powiodła. Ci, którzy zainwestowali w niewolnictwo, nie zrezygnowaliby z niego.

– To prawda. Przy ich współpracy i poparciu handlarze sprowadzali i sprzedawali niewolników z Kuby i innych karaibskich wysp nawet po tym, jak w tysiąc osiemset siódmym roku Kongres zakazał handlu.

– Bardziej mnie interesuje teraźniejszość. Wojna się skończyła i nie możemy sobie pozwolić na następną. Nasze życie i majątki są zbyt cenne. Wojna niszczy każdą próbę materialnego postępu.

– Ach, tak. – Stevens uśmiechnął się lodowato. – Nowe credo biznesmena. Słyszałem o nurcie ekonomicznego pacyfizmu na Północy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

George się oburzył.

– Dlaczego nie? – spytał. – Czy nie powinieneś reprezentować swoich republikańskich wyborców?

– Reprezentować, tak. Być posłusznym, nie. Moim jedynym przewodnikiem jest sumienie. – Położył rękę na ramieniu George'a i spojrzał na niego z góry; samo pochylenie głowy było sygnałem jego poczucia wyższości. – Nie chciałbym cię źle traktować, George. Wiem, że nie szczędzisz sporych sum na państwo i jego instytucje. Słyszałem także o twojej nieskazitelnej postawie podczas wojny. Niestety, w niczym nie zmienia to mojego stanowiska wobec posiadaczy niewolników z Południa. Członkowie tej klasy oraz ich poplecznicy są zdrajcami naszego narodu. Nie mieszkają już w wolnych stanach, lecz w podbitych prowincjach. Zaslugują na surową karę.

W oczach pod krzaczastymi brwiami George ujrzał blask ślepej wiary i ogień świętej wojny.

Cynicy często podejrzewali takich fanatyków o niskie pobudki. Twierdzono, że Stevens stał się orędownikiem praw Murzynów dlatego, że związał się ze swoją gospodynią Mulatką, niepozabawioną uroku wdową, Lydią Smith. Przyczyny nienawiści Stevensa do wszystkiego, co przychodziło z Południa, dopatrywano się w tym, że żołnierze konfederackiego generała Jubala Early'ego podpalili jego hutę w Chambersburgu. George nie bardzo wierzył w tę teorię. Sądził raczej, że Stevens jest uczciwym idealistą, tyle że o skrajnych poglądach. I nie dziwił się, że jego siostra, Virgilia Hazard, i kongresmen są przyjaciółmi.

Poglądy Stevensa nie były jednak w żadnym wypadku reprezentatywne dla republikanów. Raz jeszcze George stwierdził stanowczo:

– Sądziłem, że to prezydent odpowiada za ponowne włączenie Południa do Stanów Zjednoczonych.

– Nie, mój drogi. To przywilej Kongresu. Johnson zrobił głupio, zapowiadając, że wyda dekrety. Wzbudził olbrzymią wrogość wśród moich kolegów. I możesz być pewny, że kiedy się ponownie zbierzemy, naprawimy jego błąd. Nikt nie będzie sobie zawłaszczal praw należących do Kongresu. – Stevens uderzył okuciem laski w ziemię. – Nie pozwolę na to.

– Ale przecież Johnson robi tylko to, co Abraham Lincoln...

– Lincoln nie żyje – przerwał mu Stevens.

George zaczerwienił się.

– W porządku – rzucił. – Jakie chcecie wprowadzić zarządzenia?

– Całkowita zmiana południowych instytucji i obyczajów poprzez okupację, konfiskatę i oczyszczający ogień prawa. Taki program może przerazić słabe umysły i wstrząsnąć tymi, którzy się boją, ale jest konieczny i uzasadniony.

George zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– A dokładniej – ciągnął Stevens – żądam surowych kar dla zdrajców, którzy zajmowali wysokie stanowiska. Wcale mnie nie satysfakcjonuje, że Jeffa Davisa zakuto w kajdany w Forcie Monroe. Żądam jego egzekucji. Domagam się, by amnestia nie objęła żołnierzy, którzy zdezerterowali z unijnej armii lub marynarki wojennej i poparli rebelię.

George ze smutkiem pomyślał o Charlesie.

– Żądam równych praw i pełnego obywatelstwa dla wszystkich czarnych i stanowczo domagam się prawa wyborczego dla czarnych mężczyzn – dodał kongresmen.

– Za coś takiego obrzucą cię kamieniami nawet w Pensylwanii. Biali po prostu nie wierzą, że czarni im dorównują. Może to źle, pewnie tak, ale taka jest prawda. Twój program nie ma szans powodzenia.

– Sprawiedliwość nie ma szans powodzenia, George? Równość nie ma szans powodzenia? Nie dbam o to. Takie są moje zasady i będę o nie walczył. W kwestiach sumienia nie może być kompromisów.

– Do cholery, nie zgadzam się z tym. I wielu ludzi z Północy podziela moje zdanie.

Stevens już jednak odszedł, by spotkać się z trzema innymi wielbicielami.

* * *

Batalion Korpusu Inżynieryjnego i Armia Potomacu maszerowały Pennsylvania Avenue ku prezydenckiej trybunie. Osiem kompanii sunęło w nowych eleganckich mundurach, które zastąpiły brudne i postrzępione łachy z ostatnich dni kampanii w Wirginii. Połowa maszerujących przypasała saperki, oznakę niebezpiecznych

obowiązków, jakie pełnili. Saperzy budowali mosty i naprawiali drogi pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Zajęci pracą, nie mogli się nawet odważymniać.

W gorącym słońcu kroczył dumnie Billy Hazard. Miał przyszywaną bródkę i maszerował z saperami; już prawie nie czuł bólu gojącej się na piersi rany. Rzucił spojrzenie w kierunku trybuny, gdzie powinna stać jego rodzina. Jego śliczna żona pomachała do niego. Potem odnalazł wzrokiem brata i omal nie stracił rytmu. George robił wrażenie człowieka roztargnionego i ponurego.

Orkiestra dęta huczała. W deszczu kwiatów saperzy zniknęli za trybuną honorową.

Constance zauważyła, że coś jest nie w porządku. Gdy Billy zniknął im z oczu, zapytała męża, o co chodzi.

– Och, znalazłem w końcu Thada Stevensa.

– Przecież widzę, że to nie wszystko. Powiedz mi.

George spojrział na żonę. Znow gębiło go przecucie nadchodzącego nieszczęścia. Nie wiązało się ono bezpośrednio ze Stevensem, choć kongresmen był niewątpliwie istotną częścią układanki.

Podobną wizję George ujrzał w kwietniu 1861 roku, gdy na jego oczach spłonął dom w Lehigh Station. Kiedy wpatrywał się w ogień, zobaczył naród pogrążony w wojnie. Okazało się, że jego obawy były uzasadnione. Stracił Orry'ego, Mainowie stracili rezydencję w Mont Royal, a wojna kosztowała życie setek tysięcy ludzi i niemal zniszczyła więzy między Hazardami i Mainami. Od tego czasu bał się przyszłości. A dzisiejsze przecucie bardzo przypominało tamto.

Wzruszeniem ramion usiłował uspokoić Constance.

– Wyraziłem tylko swoje poglądy, a on złośliwie je zlekceważył. Chce, żeby Kongres nadzorował zjednoczenie, i domaga się krwi Południa. – George bezskutecznie próbował nie dać się ponieść emocjom. – Stevens chce wojny z Johnsonem, by przeforsować swoje rozwiązania. A ja myślałem, że nadszedł czas, by wzmocnić Unię. Jakby nasza rodzina niewystarczająco ucierpiała na tej wojnie, podobnie jak bliscy Orry'ego.

Constance westchnęła; zastanawiała się, jak poprawić mężowi nastrój. Wreszcie powiedziała z wymuszonym uśmiechem na pulchnej twarzy:

– Kochanie, przecież to tylko polityka...

– Nie. To znacznie więcej. Wydawało mi się, że świętujemy dzisiaj zakończenie wojny, ale Stevens wyprowadził mnie z błędu. Wojna dopiero się zaczyna.

Nie wiedział, czy dwie rodziny, osłabione przez cztery lata jednej wojny, będą miały dość sił, by przeżyć następną.

Rozdział 1

Kolumny ognia strzeliły w niebo. W trakcie bitwy zapaliło się suche poszycie lasu, a następnie stanęły w płomieniach drzewa. Dym wdzierał się do oczu i niemal nie było widać wrogich strzelców.

Charles Main pochylił się nad karkiem swojego siwka, Sporta, i zaczął wymachiwać słomkowym kapeluszem, wołając: „Hah! Hah!”. Przed nim galopowało z rozwianymi grzywami dwadzieścia pięknych kawaleryjskich koni. Pędziły to w jedną, to w drugą stronę, usiłując skryć się przed ogniem i upiornym blaskiem.

– Nie pozwól im kręcić się w kółko! – krzyknął Charles do Aba Woolnera, którego nie mógł dostrzec w gęstym dymie. Zaklekotały karabiny. Niewyraźna sylwetka z lewej strony zwała się z siodła.

Czy uda im się wyrwać? Muszą to zrobić. Ich armia desperacko potrzebowała tych skradzionych wierzchowców.

Krzepki sierżant w błękitnym mundurze Unii wyskoczył zza pnia. Wymierzył i strzelił w łeb klaczy na czele stada. Zarżała i upadła. Kasztanek biegnący za nią potknął się i runął na ziemię. Charles, galopując obok, usłyszał trzask kości. Usmarowana kurzem twarz sierżanta z Północy rozpromieniła się w uśmiechu. Kasztanek też dostał kulę w łeb.

Żar parzył twarz Charlesa. Dym niemal go oślepił. Ab Woolner i pozostali członkowie ubranej w szarości grupy prawie całkowicie zniknęli z pola widzenia. Tylko konieczność dostarczenia zwierząt generałowi Hamptonowi zmuszała Charlesa do brnięcia przez to piekło, w którym światło słońca wymieszało się z ogniem.

Zaczęły go boleć płuca, z trudem łapał powietrze. Zdawało mu się, że w miejscu, gdzie kończył się pożar lasu, ujrzał umożliwiającą ucieczkę lukę. Ostrogami

ponaglił konia. Sport zareagował właściwie.

– Ab, tam, z przodu. Widzisz to?

Jedyną odpowiedzią był wzmożony ostrzał karabinów, głośniejsze krzyki, więcej jęków ludzi i koni padających na płonące liście, które zaścierały ziemię. Charles mocniej wcisnął kapelusze na głowę i wyrwał z kabury wojskowego colta kalibru .44. Odciągnął kurek. Przed nim, na drodze ucieczki, stało trzech żołnierzy Unii. Podnieśli bagnety. Ustawili się bokiem do pędzących koni. Jeden z nich wepchnął bagnet w brzuch srokacza. Trysnął gejzer krwi. Raniony śmiertelnie koń zarżał przeraźliwie i upadł.

Ta brutalność wobec zwierzęcia rozwścieczyła Charlesa. Wystrzelił dwa razy, ale Sport pędził po tak nierównym terenie, że nie istniała szansa trafienia. Nadbiegło całe stado i trzech żołnierzy Unii wymierzyli. Jedna z kul trafiła Sporta między oczy. Krew bryzgnęła Charlesowi w twarz. Zawył jak szalony, gdy przednie nogi siwka się ugięły. Runął na ziemię przez łeb konia.

Wylądował twardo; chwiejnie uniósł się na rękach i kolanach. Jeszcze jeden uśmiechnięty chłopiec z Unii wymachiwał bagnetem. Charles miał wrażenie, że oślepia go pomarańczowe światło, a żar był tak intensywny, że niemal palił skórę. Unionista przekroczył Sporta konającego na ziemi i wepchnął bagnet w brzuch Charlesa, po czym ciągnąc ostrze w górę, otworzył mu ciało od pępka po żebra.

Drugi żołnierz przyłożył mu karabin do głowy. Charles usłyszał huk, poczuł uderzenie, po czym las pociemniał...

– Panie Charles...

– Naprzód, Ab! To jedyna droga.

– Panie Charles, proszę się obudzić.

Otworzył oczy, ujrzał kobiecą sylwetkę skąpaną w szkarłatnej poświacie. Z wysiłkiem wciągnął powietrze. Szkarłat. Las płonął...

Nie. Światło wydobywało się z czerwonych abażurów lamp gazowych wokół salonu. Nic nie płonęło, nie było gorąco.

– Augusta? – zapytał, wciąż niezbyt rozbudzony.

– Och, nie, proszę pana – odparła ze smutkiem. – To ja, Maureen. Strasznie pan krzyczał. Myślałam, że może ma pan jakiś atak.

Charles usiadł i odrzucił ciemne loki ze spoconego czoła. Od jakiegoś czasu nie obcinał włosów. Opadały mu teraz na kołnierz wyblakłej błękitnej koszuli. Chociaż miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, za sprawą cierpienia i rozpaczycy stracił wiele ze swojej urody.

W salonie apartamentu chicagowskiego hotelu Grand Prairie dostrzegł na fotelu swój pas. W kaburze spoczywał colt z 1848 roku, z wygrawerowaną sceną

walki Indian z dragonami. Na oparciu fotela leżało jego wykonane na wzór cygański poncho z resztek beżowych spodni, zwierzęcych futerek, mundurów Unii, żółtych i czerwonych szalików. Zszył je sztuka po sztuce podczas wojny, by nie marznąć. Wojna...

– Zły sen – powiedział. – Obudziłem Gusa?

– Nie, pański synek mocno śpi. Tak mi przykro, że miał pan złe sny.

– Mogłem się domyślić, że to tylko koszmar. Śnił mi się Ab Woolner. I mój koń, Sport. Obaj, człowiek i koń, już nie żyją. – Przetarł oczy. – Wszystko w porządku, Maureen. Dziękuję.

– Tak, proszę pana – powiedziała z powątpiewaniem w głosie i cicho wyszła.

W porządku? – pomyślał. Czy w ogóle kiedykolwiek coś jeszcze będzie w porządku?

Podczas wojny, tracąc Augustę Barclay, stracił wszystko. Zmarła podczas porodu. Dała mu syna, o którym dowiedział się dopiero po jej śmierci.

Wciąż nie mógł wyrwać się spod władzy snu. Widział i czuł płonący las. Tak właśnie poszła z dymem puszcza Wilderness. Miał wrażenie, że żar zagotował mu krew. Bardzo odpowiedni sen. Był przecież wypalonym człowiekiem, a gdy nie spał, trapiły go dwa pytania. Gdzie znaleźć spokój? Gdzie znaleźć dla siebie miejsce w kraju, w którym już nie trwa wojna? Jego jedyna odpowiedź na oba pytania brzmiała: nigdzie.

Znów odgarnął włosy z czoła. Podeszedł do komody i nalał do szklanki mocnego alkoholu. Zachodzące czerwone słońce barwiło dachy domów na Randolph Street, widoczne z narożnego okna.

Charles właśnie kończył drinka, wciąż usiłując otrząsnąć się z koszmaru, gdy wuj Augusty, generał brygady Jack Duncan, przemaszerował przez korytarz hotelowy.

– Charlie, mam złe wieści – oznajmił na wstępie.

Duncan był krzepkim mężczyzną o siwych pofalowanych włosach i rumianych policzkach. W galowym stroju prezentował się wspaniale: kurtka, pas, pendent, szarfa z włożonymi za nią rękawicami. Pod pachą trzymał kapelusz z czarną jedwabną kokardą. Na nowym stanowisku w sztabie dywizji Missisipi w Chicago otrzymał stopień kapitana. Większość wojennych mianowań cofnięto, ale tak jak inni, Duncan miał prawo do używania wyższego tytułu.

Nosił jedną srebrną gwiazdę generalską na epoletach, ale narzekał, że w powojennej armii nastał straszny bałagan w stopniach, tytułach, insygniach i mundurach.

Charles czekał, aż usłyszy coś więcej. Zapalił cygaro. Duncan odłożył kapelusz

i nalał sobie drinka.

– Byłem dzisiaj całe popołudnie w sztabie dywizji. Bill Sherman ma zostać dowódcą w miejsce Johna Pope’a.

– Czy to są te złe wieści?

Duncan skinął głową.

– Mamy wciąż milion ludzi pod bronią, ale za rok będziemy szczęśliwi, jeśli zostanie dwadzieścia pięć tysięcy. W ramach redukcji zwalnia się wszystkich od Pierwszego do Szóstego Ochotniczego Pułku Piechoty.

– Wszystkich galwanizowanych Jankesów? – Chodziło o konfederackich jeńców, których podczas wojny wcielono do armii Unii i darowano im więzienie.

– Co do jednego. Mimo że dobrze się nam przysłużyli. Uniemożliwili Siuksom wybite osadników w Minnesocie, odbudowali linie telegraficzne zniszczone przez Indian, obsadzali forty, chronili dyliżanse i pocztę. Lecz już po wszystkim.

Charles podszedł do okna.

– Cholera, Jack, przebyłem taki szmat drogi, żeby wstąpić do któregoś z tych pułków.

– Wiem. Niestety, te drzwi zostały zamknięte.

Charles odwrócił się. Z jego twarzy bił taki smutek, że Duncan był poruszony. Ten żołnierz z Karoliny Południowej, ojciec dziecka jego siostrzenicy, był porządnym człowiekiem, lecz podobnie jak wielu innych zupełnie stracił orientację i boleśnie odczuwał koniec wojny, która przez ostatnie cztery lata niepodzielnie panowała nad jego życiem.

– Trudno – rzucił Charles. – Chyba będę musiał zmywać podłogi. Albo kopać rowy...

– Jest inna droga, jeśli masz ochotę spróbować.

Charles czekał.

– Zawodowa kawaleria.

– Do diabła, to niemożliwe. Amnestia nie obejmuje absolwentów West Point, którzy przyłączyli się do Konfederacji.

– To się da obejść. – Charles nie zdążył zapytać, w jaki sposób, bo Duncan mówił dalej: – Wojna zostawiła nadmiar oficerów, ale brakuje wykwalifikowanych żołnierzy. Jesteś dobrym jeźdźcem i świetnym żołnierzem. Zresztą nic dziwnego, skoro byłeś w West Point. Przyjmą cię prędzej niż jakiegoś imigranta z Irlandii, jednorękiego kalekę czy zbiegłego recydywistę.

Charles zastanawiał się, żując końcówkę cygara.

– A co z moim synem?

– Cóż, obowiązywałaby ta sama umowa co wcześniej. Maureen i ja zajmujemy

się Gusem, dopóki nie zakończysz szkolenia i nie wyjedziesz gdzieś na placówkę. Przy odrobinie szczęścia... jeśli wylądujesz na przykład w Forcie Leavenworth albo Riley... będziesz mógł nająć jakąś żonę podoficera na niańkę. Jeśli nie, Gus może z nami zostać na czas nieograniczony. Kocham tego chłopca. Zastrzeliłbym każdego, kto by na niego krzywo spojrział.

– Ja też. – Charles wciąż rozmyślał. – Niewielki mam wybór, prawda? Zostać rekrutem albo wracać do domu, żyć na łaskawym chlebie żony kuzyna, Madeline, i siedząc na beczce, opowiadać do końca życia wojenne historyjki.

Zaczął znów żuć cygaro. Wreszcie spojrział na Duncana z ukosa i zapytał:

– Jesteś pewien, że mnie przyjmą?
– Charlie, setki byłych reb... hm... konfederatów wstępują do armii. Po prostu musisz zrobić to co oni.

– To znaczy?

– Łgać ile wlezie.

* * *

– Następnym! – zawołał sierżant w biurze poborowym.

Charles zbliżył się do poplamionego stołu, pod którym znajdowała się śmierdząca spluwaczka. Za drzwiami wrzeszczał mężczyzna, gdy cyrulik wyrwał mu ząb.

Podoficer cuchnął ginem, wyglądał tak, jakby już dwadzieścia lat temu miał przejść na emeryturę, i robił wszystko powoli. Charles czekał godzinę, ponieważ sierżant załatwiał sprawy dwóch mężczyzn o dzikim wzroku, niemówiących po angielsku. Jeden na każde pytanie reagował, bijąc się w piersi i wołając: „Budapeszt, Budapeszt!”. Drugi również bił się w piersi i wykrzykiwał: „Zjednoczone Stany Meryki. Niech Bóg ma w opiece Armię Wielkich Równin!”.

Gdy Charles wszedł do pomieszczenia, sierżant zatkał palcami pokryty siatką żyłek nos.

– Zanim zaczniemy, zróbcie mi przysługę, człowieku. Ściągnijcie te cholerne szmaty, czy cokolwiek to jest, i wyrzucicie je na zewnątrz. Wyglądają okropnie i śmierdzą jak owcze łajno.

Charles z trudem się opanował. Zdjął cygańskie poncho, złożył je i zostawił na podłodze z desek w korytarzu za drzwiami. Wrócił do stołu i patrzył, jak sierżant zanurza pióro w kałamarzu.

– Wiecie, że kontrakt jest na pięć lat...?

Charles skinął głową.

– Piechota czy kawaleria? – spytał sierżant.

– Kawaleria.

To jedno słowo zdradziło Charlesa.

– Południowiec? – rzucił wrogim tonem mężczyzna za stołem.

– Karolina Południowa.

Sierżant sięgnął po plik kartek spiętych metalową kłamrą.

– Nazwisko?

Charles wszystko dokładnie przemyślał. Chciał mieć nazwisko zbliżone do prawdziwego, by móc reagować w naturalny sposób, gdy ktoś się będzie do niego zwracał.

– Charles May.

– May, May... – Sierżant przewertował kartki, po czym odłożył je na bok. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Charlesa wyjaśnił: – Spis absolwentów West Point. Sporządzony w sztabie dywizji. – Przyjrzał się zniszczonemu ubraniu Charlesa. – Ale wy się chyba nie musicie martwić, że was pomyłą z kimś takim. Służyliście już w wojsku?

– Legion kawalerii Wade’a Hamptona. Potem...

– Wade Hampton wystarczy. – Sierżant zapisał coś. – Wasz najwyższy stopień?

– Kapral – skłamał Charles zgodnie z radą Duncana, chociaż nie czuł się szczególnie pewnie.

– Możecie to udowodnić?

– Niczego nie mogę udowodnić. Moje dokumenty spłonęły w Richmond.

Sierżant pociągnął nosem.

– Cholernie wam z tym wygodnie, rebelianci. No cóż, nie mamy wyboru. Odkąd Chivington załatwił w zeszłym roku Szejenów Czarnego Kotła, te cholerne plemiona z Wielkich Równin zupełnie poszalały.

Charles znał tę historię. W okolicy Denver Indianie wybili grupę emigrantów. Były kaznodzieja, pułkownik J.M. Chivington, zebrał ochotnicze oddziały z Kolorado i w odwecie napadł na szejeńską osadę nad Sand Creek, chociaż nie istniały dowody, że wódz tej wioski, Czarny Kocioł, czy jego ludzie byli winni tamtych zabójstw. Oddział Chivingtona wymordował około trzystu osób, w tym ponad dwieście kobiet i dzieci. Napad ten oburzył wielu ludzi w kraju, ale widocznie sierżant do nich nie należał.

Mężczyzna, któremu za drzwiami wyrywano ząb, znów krzyknął.

– Nie, nie możemy być wybredni – dodał sierżant, skrobiąc na papierze. – Trzeba brać wszystkich jak leci. – Zerknął na Charlesa. – Nawet zdrajców.

Charles poskromił wściekłość. Podejrzał, że jeśli wstąpi do armii – a musiał to przecież zrobić, bo na niczym innym się nie znał – usłyszy jeszcze podobne

uwagi na temat zdrajców. Lepiej się zawczasu przyzwyczaić do znoszenia ich bez reakcji.

– Umiecie czytać albo pisać?

– Jedno i drugie.

Sierżant nawet się uśmiechnął.

– To dobrze, choć za cholerę niczego to nie zmienia. Macie wszystko, co trzeba. Minimum jedną rękę, jedną nogę i oddychacie. Podpiszcie tutaj.

* * *

Zadźwięczał dzwonek lokomotywy. Maureen wzdrygnęła się.

– Proszę pana... panie generale... wszyscy pasażerowie muszą już wsiadać.

Obłok pary zasłaniał peron. Charles przytulił zawiniątko z okutym synkiem. Sześciomiesięczny Gus wiercił się i marudził, bo męczyła go kolka. Maureen wciąż go karmiła i dziecko nie zawsze dobrze na to reagowało.

– Nie chcę, żeby mnie zapomniał, Jack – powiedział Charles.

– Dlatego kazałem ci pozować do dagerotypu – wyjaśnił Duncan. – Jak chłopak trochę podrośnie, będę mu pokazywał fotografię i mówić: „Tatus”.

Charles delikatnie przełożył synka w ramiona gospodyni, która była zarazem, jak podejrzewał, niepoślubioną żoną starszego pana.

– Opiekuj się dobrze tym młodzieńcem.

– Jeśli sądzi pan, że mogłoby być inaczej, to się obrażę – odparła Maureen, kołyszając dziecko.

Duncan ujął jego dłoń.

– Niech cię Bóg prowadzi... I pamiętaj, trzymaj język i nerwy na wodzy. Masz przed sobą kilka ciężkich miesięcy.

– Dam sobie radę, Jack. Wszędzie mogę służyć w wojsku, nawet u Jankesów.

Zadźwięczał gwizdek. Konduktor dał sygnał z ostatniego wagonu i zawołał do maszynisty:

– Odjazd! Odjazd!

Pociąg ruszył. Charles wskoczył na stopień wagonu drugiej klasy i machał na pożegnanie. Był zadowolony, że wokół kłębi się para, bo dzięki temu nikt nie widział jego oczu.

* * *

Charles usadowił się wygodnie na siedzeniu. Pewnie przez jego ponurą minę nikt nie usiadł obok niego. Nasunął na oczy zniszczony słomkowy kapelusz, a cygańskie poncho położył obok siebie. Na kolana rzucił nieprzeczytany egzemplarz „National

Police Gazette”.

Ciemne strugi deszczu pełzały ukośnie po szybie. Burza i noc ukrywały wszystko na zewnątrz. Charles przeżuwał nadpsutą bułkę. Kupił ją od handlarza przechodzącego między rzędami siedzeń. Poczuł nieobcą mu pustkę samotności.

Przerzucił stronicę „New York Timesa” zostawionego przez pasażera, który wysiadł na poprzedniej stacji. Jego wzrok przykuły kolumny z ogłoszeniami: fantastyczne reklamy okularów, gorsetów, wygod przybrzeżnych parowców. Jedno ogłoszenie proponowało nawet lekarstwo dla cierpiących. Odrzucił gazetę. Cholerna szkoda, że to nie jest takie łatwe.

Nieświadomie zaczął pogwizdywać melodyjkę, która przysłała mu do głowy przed paroma tygodniami i nie chciała się odczepić. Pogwizdywanie zaintrygowało tęgą kobietę siedzącą po drugiej stronie przejścia. Jej równie pękata córka trzymała głowę na matczynych udach. Kobieta pokonała nieśmiałość i odezwała się do Charlesa:

- To piękna melodia, proszę pana. Czy to może piosenka panny Jenny Lind? Charles uniósł kapelusz.
- Nie. Sam ją sobie ułożyłem.
- Och, myślałam, że to może jej. Zbieramy słynne melodie i spisujemy w nutach. Ursula pięknie je gra.
- Nie wątpię. – Mimo dobrych intencji słowa Charlesa zabrzmiały zdawkowo.
- Proszę pana, jeśli mogę się wtrącić... – wskazała „Gazette” na jego kolanach – to, co pan czyta, nie jest chrześcijańską literaturą. Proszę, niech pan weźmie moją broszurę. Bardziej podnosi na duchu.

Wręczyła mu książeczkę przypominającą te, które pamiętał z obozów w czasach wojennych. Religijna publikacja Amerykańskiego Towarzystwa Szlaku.

– Dziękuję – odparł i zaczął czytać: *Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Ujrzyście niebiosa otwarte i aniołów Bożych wstępujących...**

Rozgoryczony, znów spojrzął w okno. Nie dostrzegł aniołów ani niebios, nic, oprócz nieskończonej mrocznej prerii Illinois oraz deszczu – prawdopodobnie zwiastującego przyszłość równie ponurą jak przeszłość. Duncan miał bez wątpienia rację, gdy mówił, że nadchodzą ciężkie czasy. Charles przywarł do oparcia siedzenia i obserwował, jak ciemność umyka.

Zaczął cichutko nucić melodyjkę, która wyczarowywała cudowne pastelowe obrazy Mont Royal – czystsze, ładniejsze i większe niż przed spalaniem. Melodyjka opowiadała o straconym domu i straconej miłości, i wszystkim, co stracił

*J 1,51.

podczas czterech krwawych lat purpurowego snu o Konfederacji. Opowiadała o uczuciach i szczęściu, którego on prawdopodobnie nigdy już nie zazna.

* * *

Ogłoszenie DO CIERPIĄCYCH

Wierzyć się dosłownie nie chce, że ludzie wciąż cierpią, gdy w zasięgu ręki jest specyfik taki jak GORZKIE KROPLE PLANTACYJNE. Osoby cierpiące na ból głowy i żołądka, przygnębienie, zgaę, ból w boku lub plecach, skurcze, nieprzyjemny oddech i inne symptomy tego strasznego potwora – zaburzeń trawiennych – szczerze namawiamy do sprawdzenia tego lekarstwa.

* * *

Dziennik Madeline

Czerwiec 1865. Mój najdroższy Orry, zaczynam te zapiski w starym zeszytcie, ponieważ muszę z tobą rozmawiać. Jeśli powiem, że bez ciebie całkowicie straciłam orientację i że dręczy mnie ból, to nawet w małej części nie wyrażę tego, co czuję. Postaram się zbytnio nie użalać nad sobą, ale wiem, że nie uda mi się to do końca.

Jakaś mała częśćka mnie cieszy się, że cię tu nie ma i nie musisz oglądać ruiny ukochanej ojczyzny. Powoli zaczynamy ogarniać rozmiary zniszczeń. Karolina Południowa poświęciła tej obrzydliwej wojnie około siedemdziesięciu tysięcy mężczyzn, z czego jedna czwarta zginęła. Mówi się, że to najwyższa liczba ofiar ze wszystkich stanów.

Wyzwoleni czarni – około dwustu tysięcy – włóczą się teraz swobodnie. Stanowią połowę ludności naszego stanu albo i więcej. W zeszłym tygodniu spotkałam na drodze przy rzece Maum Ruth, która dawniej należała do Francisa LaMotte'a. Tak ścisnęła stary worek po mące, że aż zapytałam, co tam ma.

„Mam tu wolność i już jej nie wypuszczę”, odparła.

Odeszłam pełna smutku i gniewu. Jakiż popełniliśmy błąd, nie zapewniając naszym czarnym wykształcenia. Nie potrafią sobie dać rady w nowym świecie, wrzuceni na siłę w ten dziwny pokój.

„Naszym czarnym”... Zatrzymałam się nad tym odruchowym sformułowaniem. Czasami zapominam się i traktuję ich z góry. A przecież jestem jedną z nich. W Karolinie Południowej Murzyn w jednej ósmej jest po prostu Murzynem.

Słowa twojej siostry, Ashton, dotarły już do wszystkich w całym hrabstwie, ale w ostatnich tygodniach nikt mi niczego nie wypominał. Zawdzięczam to tobie. Darzą cię tu ogromnym szacunkiem i bardzo żalują...

Obsadziliśmy cztery poletka ryżu. Powinniśmy się doczekać zbiorów na sprzedaż. Miejmy nadzieję, że ktoś będzie mógł w ogóle cokolwiek kupić. Andy, Jane i ja pracujemy codziennie na poletkach.

Pastor Afrykańskiego Kościoła Metodystów udzielił w zeszłym miesiącu ślubu Andy'emu i Jane. Przyjęli nowe nazwisko. Andy chciał się nazywać Lincoln, ale Jane odmówiła – zbyt wielu byłych niewolników przyjmuje to nazwisko. Są więc Shermanami, co raczej nie nastawi do nich przychylnie białych! Lecz są wolnymi ludźmi. Mogą mieć takie nazwisko, jakie im się podoba.

Pobieliliśmy sosnowy dom, zbudowany w miejsce tego spalonego przez Cuffeya, Jonesa i ich motloch. Jane przychodzi wieczorami, a Andy pracuje jako murarz i stawia ściany ich nowej chaty; rozmawiamy albo cerujemy łachy, które zastępują nam porządne ubrania – czasami zagłębiamy się w naszej „bibliotece”. Jest w niej jeden egzemplarz magazynu Godeya „Lady’s Book” z 1863 roku i dziesięć ostatnich stron „Southern Literary Messenger”.

Jane często mówi o otwarciu szkoły, zamierza nawet napisać prośbę do nowo powstałego Biura Wyzwoleńców, by pomogło nam znaleźć nauczycielkę. Chciałabym jej pomóc – myślę, że jest to mój obowiązek, mimo że na pewno nie przysporzy mi to przyjaciół. Gorycz z powodu porażki doprowadziła do tego, że niewielu białych ma ochotę pomagać ludziom wyzwolonym piórem Lincolna i szabłą Shermana.

Zanim jednak zacznę myśleć o szkole, muszę zastanowić się nad tym, jak przetrwać. Ryż nie wystarczy, żeby nas utrzymać. Wiem, że drogi George Hazard dałby nam nieograniczony kredyt, ale proślenie go o to byłoby oznaką słabości. Pod tym względem jestem bez wątpienia typową przedstawicielką Południa – butną i niechętnie zginającą kark.

Może udałoby się sprzedawać drewno sosnowe i cyprysowe z naszych lasów. Drzew w Mont Royal nie brakuje. Nic nie wiem o działaniu tartaku, ale przecież mogę się nauczyć. Potrzebny byłby sprzęt, a więc kolejna pożyczka. Może wkrótce ruszą banki w Charlestonie – zarówno George Williams, jak i nasz stary przyjaciel, wig Leverett Dawkins, spekulowali podczas wojny brytyjską walutą, trzymali ją w zagranicznych bankach, a teraz wykorzystają fundusze, by tchnąć życie w gospodarkę Karoliny Południowej. Jeśli Leverett otworzy bank, zwrócę się do niego z prośbą o pożyczkę.

Będę musiała zatrudnić robotników, zastanawiam się tylko, czy to w ogóle

możliwe. Wszyscy są zmartwieni, ponieważ czarni wolą upajać się wolnością, niż pracować dla byłych właścicieli, nawet tych najłagodniejszych. Pałacy problem całego Południa.

Muszę ci jednak, kochanie, opowiedzieć o moim nieprawdopodobnym marzeniu, które postanowiłam zrealizować przede wszystkim. Narodziło się przed paroma dniami z miłości do ciebie, z tęsknoty i dumy, że jestem twoją żoną...

* * *

Po północy tego dnia Madeline wciąż nie mogła zasnąć. Wyszła z bielonego domu; miał teraz skrzydło z dwoma pokojami. Wdowa po Orrym Mainie zbliżała się do czterdziestki, lecz miała wciąż pełne biodra i wąską talię, jak wtedy, gdy ocalił ją na drodze przy rzece. Wiek i troski zaczęły jednak być widoczne na jej twarzy.

Pląkała przez godzinę; wstydziła się tego, lecz nie potrafiła przestać. W świetle księżycy przebiegła przez rozległy trawnik. Księżyc błyszczał oślepiającą bielą ponad drzewami nad brzegiem Ashley. Madeline wypłoszyła wielką białą czaplę z miejsca, gdzie kiedyś stało molo. Ptak uniósł się ciężko i poszybował w mrok.

Odwróciła się i spojrzała w kierunku domu. Budynek wznosił się wśród dębów ze zwisającym hiszpańskim mchem. W umyśle Madeline zrodziła się wizja, wizja rezydencji, w której Orry i ona żyli jako małżeństwo. Dojrzała zgrabne kolumny i oświetlone okna. Zajeżdżały karety. Roześmiani panowie i damy przybywali z wizytą.

I w tym momencie narodził się pomysł. Serce zaczęło jej bić tak mocno, że prawie poczuła ból. Tam, gdzie teraz wznoszą się smętne bielone ściany, wybuduje nowe Mont Royal. Elegancką rezydencję, która przetrwa na zawsze jako pomnik jej męża i jego wspaniałomyślności oraz wszystkiego, co było dobre w przeszłości Mainów.

Wśród kłębiących się myśli przyszło jej do głowy, że dom nie może być dokładną repliką spalonej rezydencji. Tamto piękno było skażone – w niewidoczny sposób – zbyt wielką dawką zła. Chociaż Mainowie traktowali przyzwoicie niewolników, bez wątplenia uznawali ich za swoją własność i w ten sposób sankcjonowali system, który oznaczał również kajdany, biczowanie i śmierć lub kastrację tych, co ośmielili się próbować uciec. Pod koniec wojny Orry właściwie wyparł się tego systemu, a jego brat Cooper w młodości otwarcie go potępiał. Tak czy owak, nowe Mont Royal musi być rzeczywiście nowe, nadeszły bowiem inne czasy. Nowa epoka.

Jej oczy napełniły się łzami. Złożyła dłonie i uniosła je ku księżycowi.

– Jakoś to zrobię. Na twoją cześć...

Wyraźnie ujrzała dom, który stanie jak feniks powstały z popiołu. Jak

pogańska kapłanka uniosła głowę i dłonie do jednego z bogów spoglądających na nią z gwiazdnego łuku karolińskiej nocy. Przemówiła do męża, który znajdował się gdzieś tam, wśród gwiazd.

– Przysięgam na niebo, Orry. Zbuduję ten dom. Dla ciebie.

* * *

Dziennik Madeline

Mieliśmy dziś niespodziewanego gościa. General Wade Hampton wracał z Charlestonu do domu. Mówi się, że z powodu jego wysokiej rangi i zaciekłości miną lata, zanim obejmie go amnestia.

Zdumiały mnie jego krzepkość i zdrowy wygląd. Tak wiele przeszedł – brat Frank i syn Preston zginęli w bitwach, stracił trzy tysiące niewolników, a wróg spalił obie jego posiadłości: Millwood i Sand Hills. General mieszka teraz w chałupie nadzorcy w Sand Hills i nie może uwolnić się od oskarżeń, że to on, a nie Sherman, spalił Columbię, bo chciał zniszczyć bele bawełny, by nie dostały się w ręce jankeskich łupieżców.

A on, zamiast zając się własnymi kłopotami, interesuje się losem innych...

* * *

Na tyłach sosnowego domu Wade Hampton usiadł na pniaku służącym za krzesło. Najstarszy dowódca kawalerii generała Lee miał teraz czterdzieści siedem lat i chodził sztywno. Pięć razy odniósł rany na polu bitwy. Po powrocie do domu zgolił długą brodę; zostawił tylko kępkę pod ustami. Pozostawił jednak wielkie sumiaste wąsy i bokobrody. Pod starym popelinowym płaszczem trzymał w kaburze rewolwer inkrustowany kością słoniową.

– Pańska kawa, generale – powiedziała Madeline i wynurzyła się z cienia z dwoma parującymi cynowymi kubkami. – Z cukrem i kukurydzianą whiskey. Chociaż kawa jest, niestety, tylko wywarem z prażonych żołądzi.

– Nic nie szkodzi. – Hampton uśmiechnął się i chwycił kubek.

Madeline usiadła na skrzynce obok krzewu żółtego jaśminu. Uwielbiała te kwiaty.

– Przyjechałem zapytać, jak się pani miewa. Mont Royal należy teraz do pani...

– W pewnym sensie. Nie jestem właścicielką.

Hampton uniosł brwi, więc wyjaśniła, że Tillet Main zostawił plantację obu synom, Orry'emu i Cooperowi. Zrobił to mimo długotrwałego konfliktu z

Cooperem w kwestii niewolnictwa; w końcu więzy krwi i tradycja okazały się u Tilleta silniejsze niż gniew i różnice poglądów. Jak większość ludzi tamtej epoki, ceniących swój majątek, liczył tylko na synów. Do handlowych i finansowych umiejętności kobiet odnosił się nieufnie. W testamencie zapisał córkom, Ashton i Brett, jedynie symboliczne sumy w gotówce, przekonany, że zaopiekują się nimi mężowie. Testament stanowił dalej, że w razie śmierci jednego z synów jego część przechodziła automatycznie na drugiego.

– Tak więc Cooper jest teraz jedynym spadkobiercą. Ale z szacunku dla Orry’ego wspaniałomyślnie pozwolił mi tu zostać. Dopóki on będzie właścicielem, ja zarządzam plantacją, pod warunkiem że będę spłacać dług hipoteczny. Na mnie spadają koszty prowadzenia plantacji, ale nie narzekam. To są godziwe warunki.

– I czujesz się bezpieczna w takim układzie? Chodzi mi o to, czy ten układ został jakoś zalegalizowany.

– Całkowicie. Kilka tygodni po tym, jak przyszła wiadomość o śmierci Orry’ego, Cooper sporządził umowę na piśmie i jeżeli nie złamię jej warunków, on nie może jej zerwać.

– Wiem, jak mieszkańcy Karoliny Południowej cenią więzy rodzinne i rodzinny majątek, więc sądzę, że Mont Royal na zawsze zostanie w rękach Mainów.

– Tak. Jestem o tym przekonana. – Tylko w tej kwestii miała całkowitą pewność. – Niestety, obecnie nie mamy ani dochodów, ani żadnych na nie perspektyw. W odpowiedzi na pana pytanie, jak się miewam, mogę więc tylko powiedzieć, że jakoś sobie daję radę.

– Sądzę, że nikt z nas nie może się spodziewać niczego więcej. Pod koniec miesiąca moja córka Sally wychodzi za pułkownika Johnny’ego Haskella. To mi nieco rozprasza chmury. – Łyknął kawy. – Wspaniała. Czy masz jakieś wiadomości od Charlesa?

– Dostałam od niego list w ubiegłym miesiącu. Pisał, że zamierza wrócić do armii, na Zachodzie.

– Zdaje się, że bardzo wielu konfederatów tak robi. Mam nadzieję, że potraktują go uczciwie. Był jednym z moich najlepszych zwiadowców. Nazywaliśmy ich Zwiadowcami z Żelaza. Zasłużył na ten przydomek, chociaż muszę przyznać, że pod koniec wojny czasami dziwnie się zachowywał.

Madeline skinęła głową.

– Też to zauważyłam, gdy wiosną przyjechał do domu. Wojna go zraniła. W Wirginii zakochał się w pewnej kobiecie, która zmarła przy porodzie. Synek jest teraz z nim.

– Rodzina to jeden z niewielu balsamów na ból – mruknął Hampton. Znów

się napił. – Powiedz mi, co u ciebie naprawdę słychać.

– Tak jak mówiłam, panie generale, jakoś ciągnę. Nikt nie podnosił kwestii mojego urodzenia, więc przynajmniej z tym nie muszę się użerać.

Spojrzała na niego z uwagą, ciekawa, jak zareaguje. Czerstwa twarz Hamptona nawet nie drgnęła.

– Oczywiście słyszałem plotki. Ale to bez znaczenia.

– Dziękuję.

– Madeline, oprócz tego, że chciałem zapytać o Charlesa, przyjechałem z pewną propozycją. Wszyscy zmagamy się z trudnościami, ale ty zmagasz się z nimi samotnie. Po tym stanie włączą się pozbawieni skrupułów ludzie obu ras. Gdybyś w którymś momencie chciała się przed nimi schronić albo gdyby z jakiegoś powodu walka okazała się za ciężka i zapragnęłabyś odpocząć, przyjeźdź do Columbii. Nasz dom jest zawsze dla ciebie otwarty.

– To bardzo uprzejme. Ale czy nie sądzi pan, że chaos w Karolinie Południowej wkrótce się skończy?

– Na pewno nie wkrótce. Ale możemy przyspieszyć ten dzień, stając po stronie słusznej sprawy.

Westchnęła.

– Co to za sprawa?

Wpatrywał się w błyszczącą taflę rzeki.

– Kilku dżentelmenów z Charlestonu zaproponowało mi dowództwo nad ekspedycją, która ma założyć kolonię w Brazylii. Niewolniczą kolonię. Odmówiłem. Oświadczyłem, że mój dom jest tutaj i nie myślę już kategoriami Północy i Południa, tylko Ameryki. Walczyliśmy, przegraliśmy, sprawa odrębnego kraju upadła. Stoimy w Karolinie Południowej przed bardzo poważnym problemem. Status czarnego człowieka się zmienił. Jak powinniśmy się zachować? Cóż, byli nam wierni jako niewolnicy, więc uważam, że powinniśmy ich potraktować uczciwie jako wolnych ludzi. Zagwarantować im sprawiedliwość w sądach. Dać prawo wyborcze, jeśli spełnia warunki, tak samo jak dajemy je białym. Jeśli to zrobimy, wędrujące tłumy osiadą i czarni znów uznają Karolinę Południową za swój dom, a białych za przyjaciół.

– Naprawdę pan w to wierzy, generale?

Lekko zmarszczył brwi, być może się zdenerwował.

– Tak. Tylko pełna sprawiedliwość i współczucie mogą przynieść ulgę temu stanowi.

– Muszę przyznać, że jest pan bardziej liberalny w stosunku do czarnych niż większość białych.

– To nie jest tylko kwestia moralna, ale też praktyczna. Nasze ziemie są zniszczone, domy spalone, pieniądze i obligacje są bezwartościowe, a w naszych domach kwaterują żołnierze. Czy powinniśmy jeszcze pogarszać sytuację, udając, że nasza sprawa nie jest stracona? Że może jakoś przetrwa? Myślę, że była stracona od samego początku. Nie brałem udziału w konwencji w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku, ponieważ uważałem, że secesja jest nieprawdopodobną głupotą. Czy mamy znów żyć iluzjami? Prowokować akcje odwetowe tylko dlatego, że chcemy się odciąć od godnego podziwu wysiłku odnowienia Unii?

– Bardzo wielu ludzi się temu sprzeciwia – zauważyła.

– Jeśli dżentelmeni pokroju pana Stevensa i pana Sumnera spróbują mnie zmusić do zrównania mojego statusu społecznego ze statusem czarnych, sam będę się sprzeciwiał. Lecz jeśli w Waszyngtonie zachowają rozsądek... i my również... odbudowa okaże się całkiem realna. Jeżeli jednak naszym ludziom znów przyjdą do głowy stare głupie pomysły, zaczniesz się po prostu nowa wojna.

Znów westchnęła.

– Mam nadzieję, że zwycięży zdrowy rozsądek, chociaż nie jestem o tym przekonana.

Hampton wstał i ujął jej dłonie.

– Nie zapomnij o mojej propozycji. Ażyl, kiedykolwiek zapragniesz.

Pod wpływem impulsu ucałowała go w policzek.

– Jest pan dobrym człowiekiem, generale. Niech pana Bóg błogosławi.

Odjechał na swoim pięknym rumaku aleją wysadzaną dębami i zniknął tam, gdzie łączyła się z drogą biegnącą wzdłuż rzeki.

* * *

O zmroku Madeline szła przez leżące odłogiem poletko i zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Hamptona. Jak na dumnego pokonanego człowieka prezentował zdumiewająco wielkoduszne poglądy. I miał rację w swoich przewidywaniach co do przyszłości Karoliny Południowej. W razie powrotu Południa do starego systemu radykalni republikanie z Północy uznają to za pretekst do odwetu.

Jej sandał, uszyty z resztek skóry i rzemyka, trafił na coś ostrego. Rozgarnęła piach i odkryła skałę, mniej więcej wielkości dwóch dłoni. Wraz z Shermanami znajdowała wiele podobnych głazów podczas prac na czterech obsianych poletkach. Zastanawiało ich to, bo na nizinach rzadko trafiały się skały.

Oczyściła znalezisko z ziemi. Było żółtawe z ciemniejszymi pasmami i wydawało się porowate. Łatwo dało się przełamać je na pół. A przecież skały nie kruszą się w taki sposób. Ale jeśli to nie była skała, to co?

Podniosła obie połówki do twarzy. Oczy z wiekiem coraz bardziej ją zawodziły. Ponieważ nigdy wcześniej nie rozłupywała takich dziwaczych głązów, nie była przygotowana na smród. Zatkaną nos. Odrzuciła kawałki ze wstrętem i pospieszyła do sosnowego domu. Cień sunął przed nią po ziemi szkarłatny jak rozlana krew.

* * *

Dziennik Madeline

Chciałabym mieć wiarę gen. H., że ludzie w Karolinie Południowej dostrzegą mądrość i praktyczność uczciwej gry wobec wyzwolonych czarnych. Chciałabym wierzyć, że zachowają się rozsądnie, uznają porażkę i zniosą jej konsekwencje. Lecz nie wierzę w to. Dopadł mnie znów mroczny nastrój.

Stało się to tego wieczoru, gdy rozłupałam jedną z tych dziwnych skał, które mi pokazywałeś przed wojną. Co za smród! Nawet nasza ziemia zgorzkniała i przegniła. Odebrałam to jako znak. Ujrzałam przyszłość sptywającą żółcią i trucizną.

Przebacz mi, Orry, nie wolno mi tak pisać.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).